

Na kresy dawnej Rzeczypospolitej

Medyczny Klub Turystyczny wspólnie ze Stowarzyszeniem Chorych na Astmę Oskrzelową w Lublinie już po raz czwarty zorganizował integracyjną wycieczkę, której celem była promocja aktywnego stylu życia z astmą oskrzelową. W latach poprzednich dwukrotnie gościł nas ośrodek AM w Krywem w Bieszczadach. W roku 2007 zwiedzaliśmy wspólnie Lwów. Tym razem nasz cel był ambitniejszy.





DR N. MED. PIOTR PAPRZYCKI
INSTYTUT MEDYCYNY WSI

DR N. MED. PAWEŁ KRAWCZYK
KATEDRA I KLINIKA
PNEUMONOLOGII, ONKOLOGII I ALERGOLOGII
UM W LUBLINIE

Tegoroczny wiosenny wyjazd był wyjątkowy i trudny. Związane było to z fatalną pogodą, niebagatelnymi odległościami i licznymi problemami organizacyjnymi, które występują zawsze podczas podróży po Ukrainie

W maju 2008 roku odwiedziliśmy najbardziej znane miejsce ukraińskiego Podola w tym Kamieniec i Chocim oraz przezieraliśmy się przez bezdroża Miedoborów i doliny Zbrucza. W wycieczce wzięło udział 37 uczestników w większości związanych z Kliniką Pneumologii. Integracyjny charakter wyjazdu podkreślał udział pacjentów i ich rodzin, lekarzy i pielęgniarek. Organizacja wycieczki spoczywała na barkach Mirosława Rybaka i Ireny Węgrzyn-Szkućnik ze Stowarzyszenia Chorych na Astmę oraz Piotra Paprzyckiego i Pawła Krawczyka z MKT.

Tegoroczny wiosenny wyjazd integracyjny Stowarzyszenia Chorych na Astmę Oskrzelową i MKT był wyjątkowy i trudny. Związane było to z fatalną pogodą, niebagatelnymi odległo-

ściami i licznymi problemami organizacyjnymi, które występują zawsze podczas podróży po Ukrainie. Dostępu do naszych wschodnich sąsiadów broniła jak zwykle granica państwa, której przekroczenie zajęło nam ponad 4 godziny. Zmęczeni, ale szczęśliwi, że nareszcie posuwamy się do przodu, wyruszyliśmy w kierunku Lwowa, a potem, remontowaną ze względu na zbliżające się Euro 2012, drogą Lwów-Kijów. Mimo słonecznego nieba w Polsce, w miarę drogi na wschód zbierały się nad nami chmury, aby wreszcie nad Ławrą Począjowską uderzyć gwałtowną burzą.

Ledwo nasze panie, jako osoby nieczyste zdołały się przebrać w odpowiednie, wypożyczone stroje, zakrywające głowy i nogi aż do kostek, ledwo zdołaliśmy osłupieć na widok monumentalnych złocistych i błękitnych kopuł cerkiewnych i ogłuchnąć od donośnego nieustannego bicia dzwonów – a już musieliśmy przeskakiwać rwące potoki wody i uciekać przed rżęsiącą ulewą.

Począjów jest jednym z dwóch na Ukrainie największych centrów prawosławia i jest to prawosławie w najbardziej niechętniej zachodowi odmianie podlegającej Patriarchatowi Mo-

Krzemieniec,
Góra Bony



skiewskiemu. Jest w tym szczególna ironia, biorąc pod uwagę, że ośrodek kultowy w Poczajowie tak naprawdę narodził się nie w okresie Rusi czy Rosji, ale w Rzeczypospolitej. Dla katolików z Polski egzotyka rosyjskiego prawosławia to tylko dodatkowa atrakcja.

Niewątpliwą atrakcją wycieczki był nasz stary autokar marki Setra, pozabawiony jakichkolwiek wygod. Od sa-

mego początku odmówił współpracy mikrofon i pełnienie roli pilota i przewodnika wiązało się już po pierwszym dniu z nieustanną chrypką. Pokonawszy problemy z niesprawną wentylacją za pomocą otwierania i zamykania w czasie jazdy drzwi i wywietrzników dachowych (oczywiście, jeśli w tym czasie nie lało), dotarliśmy do Krzemieńca. Następnego dnia wszy-

scy w komplecie wdrapali się na urwiska wzgórza zamkowego nie zważając na swoją kondycję zdrowotną.

Widok na siedzibę Liceum Krzemienieckiego i miejsce wykształcenia wielu sławnych Polaków z Juliuszem Słowackim na czele, nawet przy zachmurzonym niebie okazał się warty wysiłku. Ze wzgórza zamkowego z ruinami zamku królowej Bony (jedyne na Rusi zamki niezdobyte przez Tatarów i Mongołów) roztaczał się bajkowy krajobraz na głęboką dolinę, w której rozłożyło się miasto.

Po drodze na południe wstąpiliśmy do Zbaraża, miejsca drogiego sercu Polaków i jak się okazuje jeszcze bardziej Ukraińców. W 1649 roku miała tu miejsce słynna obrona zamku i miasta przed wojskami kozackimi i sprzymierzonymi z nimi Tatarami. Obleżony wówczas 14-tysięczny oddział polski bronił się pod dowództwem Jeremiego Wiśniowieckiego przez 53 dni przed naporem ok. 250-300 tysięcznej armii kozacko-tatarskiej. W zamku, który obecnie jest w trakcie renowacji mieści się teraz całkiem ładne muzeum kozaczyzny, a jego główną atrakcją są drewniane rzeźby scenek rodzajowych z życia kozaków. Na szczęście zwiedzający Ukraińcy nie bardzo

Chocim,
Dniestr





Twierdza
w Kamieńcu Podolskim

wiedzą, kto wygrał bitwę o Zbaraż i nie znają sienkiewiczowskiej historii Skrzetuskiego, który właśnie pod tym zamkiem przedzierał się przez otaczającą go mokradła.

Za Zbarażem ruszyliśmy ku Zbruczowi i tu dostaliśmy drugie ostrzeżenie od naszego autokaru – na typowo ukraińskiej drodze bocznej, gdzie zwykle więcej jest dziur niż asfaltu uszkodziliśmy amortyzator.

Najdalej na południowy wschód wysuniętym punktem naszej eskapady był Chocim – warownia wybudowana przez Mołdawian, Turków i Rosjan, sukcesywnie odbierana i oddawana przez Polaków. Najbardziej słynne obrony twierdzy chocimskiej miały miejsce w roku 1621 i 1673. W 1621 roku armia polsko-litewska pod dowództwem hetmana wielkiego litewskiego Jana Karola Chodkiewicza, posiłko-

wana przez Kozaków prowadzonych przez Piotra Konaszewicza-Sahajdacznego, dała skuteczny opór armii tureckiej dowodzonej przez sułtana Osmana II. Siły Rzeczypospolitej zamknięte w warownym obozie stanęły na drodze armii osmańskiej kierującej się w głąb Polski. Bitwa zakończyła się podpisaniem pokoju korzystnego dla Rzeczypospolitej. 50 lat później bitwę pod Chocimiem stoczyły wojska koronne i litewskie pod dowództwem hetmana wielkiego Jana Sobieskiego z wojskami tureckimi pod wodzą Husajna Paszy, które liczyły wówczas ok. 35 tys. żołnierzy umocnionych w dawnym obozie polskim. Dzięki błyskawicznemu szturmowi wojska polskie zdobyły obóz ze 120 działami i rozbiły pierwszą armię osmańską. Chocimska wiktoria, traktowana przez Polaków jako odwet za pokój buczacki, pozwoliła Sobieskiemu rok później wygrać elekcję i zasiąść na tronie Polski.

Na szczęście deszcz się zagapił i mogliśmy wygłosić pogawędkę na temat bitew chocimskich, polskich hetmanów i obyczajów tatarskich. Była też okazja podziwiać szeroko rozlany Dniestr. Niestety, w drodze do Kamień-



Rozlewiska
Zbrucza

ca najpierw uszkodzony amortyzator Setry zaczął dziwnie kołatać, potem silnik odmówił posłuszeństwa i żał było patrzeć na nierówną walkę naszego kierowcy, który dokładał wszelkich starań, aby nas dowieźć do Kamieńca. Już zdawało się, że walka zostanie przegrana i przyjdzie nam spędzić resztę wycieczki pijąc piwo w przydrożnej knajpie w towarzystwie gromady mocno już podпиты, ale bardzo skorych do pomocy Ukraińców, kiedy po dolaniu benzyny Setra znowu skocznie ruszyła naprzód.

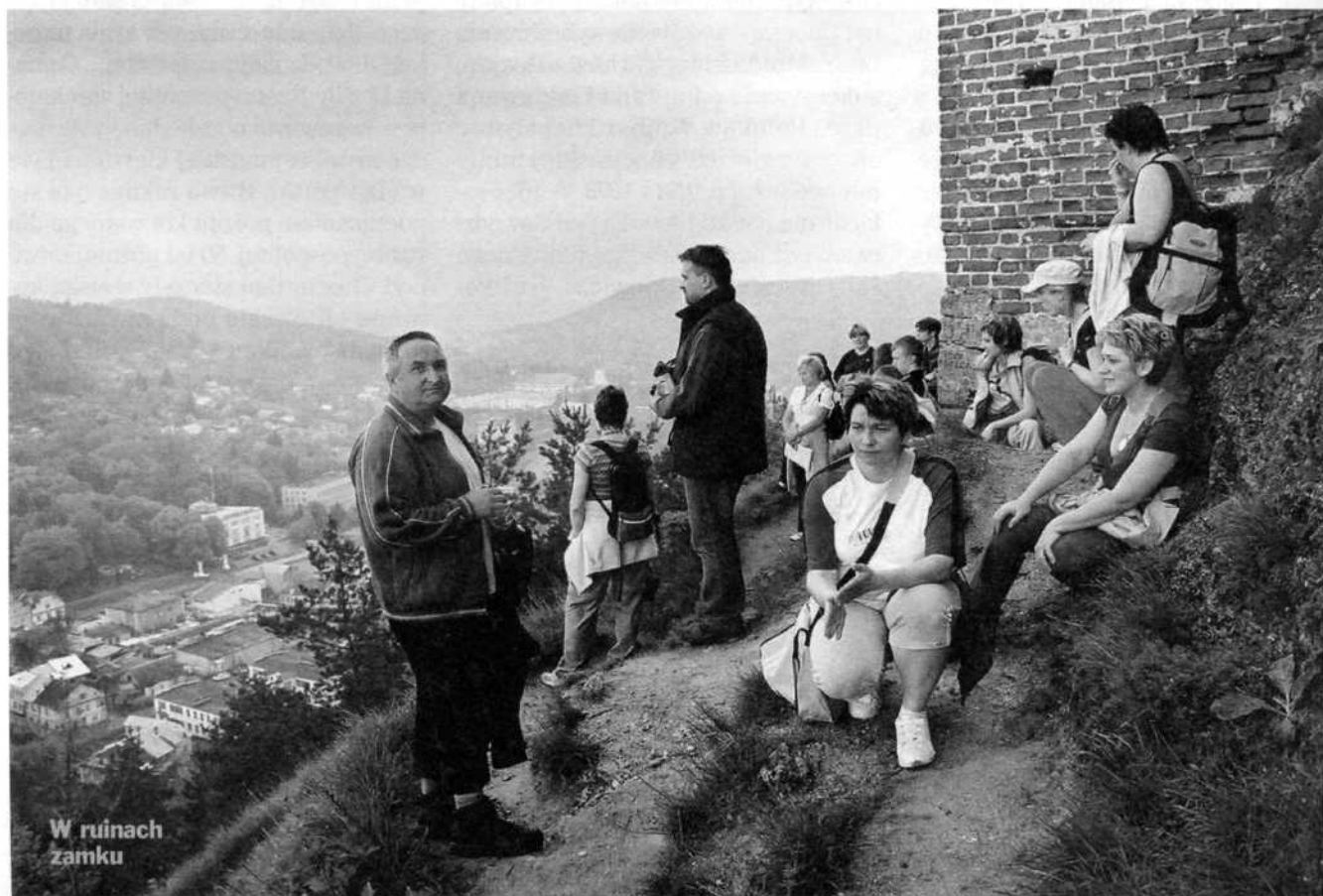
Niestety, zaraz okazało się, żejechać i tak nie ma po co, bo hotel „Sim Dniv”, mimo dwukrotnego potwierdzenia rezerwacji, nie miał dla nas miejsc. Jedynie niezwykle obrotności Pawła Krawczyka i żelaznej wytrzymałości jego rodziny zawdzięczaliśmy to, iż wymęczona wycieczka znalazła swoją przystań w sanatorium Ukraina, zlokalizowanym w niezaznaczonej na żadnej mapie podkamienieckiej miejscowości.

Kamieniec Podolski miał być głównym punktem naszego tournée, ale akurat właśnie wtedy otworzyły się

nad nim prawdziwe upusty niebieskie. Lało straszliwie i tylko dzięki wysiłkom naszego świetnego, zaprzyjaźnionego przewodnika z Kamieńca – pana Aleksandra Mulara, udało się nam cokolwiek z tego dnia wynieść oprócz kataru. Mieliliśmy też szczęście wejść do zawsze zamkniętego kościoła Dominikanów, gdzie dotrwał sprowadzony ze Stambułu mimbar, czyli muzułmańska kazalnica. Razem z minaretem przy dominującej w panoramie miasta, coraz piękniejszej po remoncie katedrze, to nieliczne pozostałości po kilkudziesięcioletnim władaniu półksiężycą na ziemi Podola. Wszyscy z lektury „Trylogii” znają chyba historię twierdzy kamienieckiej, położonej malowniczo na skalnym cyplu otoczonym jarem Smotrycza. W czasie wojen polsko-tureckich, w 1672 sultan Mehmed IV obległ Kamieniec ze 100-tysięczną armią wyposażoną m. in. w nowoczesną, obsługiwaną przez Francuzów, artylerię. Po krótkim oblężeniu, w sierpniu 1672, szczupła załoga poddała Kamieniec oblegającym. Podczas ewakuacji zamku nastąpił wybuch w prochowni. Podobno, to zrozpaczony ma-

jor artylerii kamienieckiej – kurlandzki szlachcic Hejking (pierwowzór Kellinga z powieści Sienkiewicza) zapalił lont. Wybuch 200 beczek prochu spowodował zniszczenie Zamku Górnego, zabijając przy tym 800 ludzi. Wśród jego ofiar był także starosta przemyski Jerzy Wołodyjowski. Na mocy zawartego w 1672 roku przez Michała Korybuta Wiśniowieckiego traktatu w Buczaczu, Kamieniec wraz z Podolem i województwem Braclawskim znalazł się w latach 1672-1699 w granicach Imperium Osmańskiego jako czternaście w Europie prowincja – Ejalet Kamieniecki. W Kamieńcu, (stolicy ejaletu) ulokowano potężny, jeden z pięciu największych – obok Belgradu, Budy, Kandii i Bagdadu – garnizonów Imperium. Ziemie te wróciły do Rzeczypospolitej na mocy Pokoju w Karłowicach w 1699.

Niezmiernie wesoły obiad w restauracji pod kamienieckim ratuszem nastroił wszystkich pozytywnie. Zadowolona ogólnie wycieczka ochoczo wyruszyła z Kamieńca na Buczacz. Na dawne ziemie przedwojennej Polski wróciliśmy w miejscowości Skała Po-





olska, gdzie wysiedliśmy podziwiać pięknie położony zamek Tarłów (a właściwie to, co z niego zostało). Wyniesiony na urwistym cyplu skalnym u ujścia bocznego strumyka do Zbrucza zamek Skała jest prawdziwie niesamowity. Olbrzymie wrażenie robi otaczający go jar Zbrucza obramowany skalnymi tarasami. Podole, jako ziemia usiana takimi malowniczymi ruinami zamków, dorównuje pod tym względem jurajskiemu Szlakowi Orlich Gniazd.

Szosa do Buczacza to rzadkie kuriozum drogownictwa. W lepszych miejscach kierowca musi lawirować między szeregiem ogromnych wyrw w asfalcie, w gorszych tylko ślady poprzedników pokazują, że w ogóle jest tu jakaś droga. Brak jest też jakichkolwiek znaków poziomych, co oznacza, że na lewo po swojej stronie można napotkać samochód jadący z naprzeciwka. Nic dziwnego, iż po kolejnym uderzeniu uszkodzony amortyzator po prostu rozpadł się i od tej pory oznajmiał nasz przejazd donośnym łomotaniem. Natomiast ukraińscy kierowcy przyzwyczajeni do ogólnie mówiąc niedoskonałego stanu technicznego swoich aut, da-

Szosa do Buczacza to rzadkie kuriozum drogownictwa. W lepszych miejscach kierowca musi lawirować między szeregiem ogromnych wyrw w asfalcie, w gorszych tylko ślady poprzedników pokazują, że w ogóle jest tu jakaś droga

wali nam znaki, że dzieje się coś niedobrego. Lecz cóż było robić, kierowca we Lwowie odkręcił żalozne resztki i oto okazało się, że amortyzator nie jest niezbędnym wyposażeniem autobusu, albo przynajmniej nie są potrzebne cztery amortyzatory.

Lwowiacy tymczasem obchodzili końcówkę prawosławnej Wielkanocy. Zapewne z tej okazji pod gmachem opery odprawiano zbiorowe modły z udziałem mnóstwa księży i diakonów, którzy po prostu stali na scenie. Dość surrealistycznie wyglądała scenografia sce-

ny wykonana z kolorowych baloników. Pasowało to jednak świetnie do jaskrawej wschodniej obyczajowości.

Mimo licznych utrudnień udało się na czas i bezpiecznie wrócić do domu. Wspominać jednak będziemy pewnie tylko chwile miłe. Mnie samemu pozostał tylko niedosyt, że okoliczności nie pozwoliły zobaczyć tylu pięknych miejsc i krajobrazów. Ale może jeszcze kiedyś...

Fotografowali: Piotr Paprzycki i Paweł Krawczyk